Nauka Katolicka.

(POSŁANIEC.)

„Nauka Katolicka“ wychodzi co czwartek w Bochum w Westfalii jako bezpłatny dodatek do „Wiarusa Polskiego“. Osobno „Nauki Katolickiej“ prenumerować nie można. Kto więc chce ją otrzymywać, niech sobie zapisze na poczcie „Wiarusa Polskiego“.

„Wiarus Polski“, pismo polityczne wychodzi trzy razy tygodniowo z „Nauką Katolicką“, jako bezpłatnym dodatkiem. Prenumerata na poczcie wynosi 1 markę 50 fenygów kwartalnie, a z odnoszeniem do domu przez listowego 1 markę 75 fenygów.

Módl się i pracuj!

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Wiarusa Polskiego“.

Nr. 36. **Bochum, dnia 8 września 1898.** **Rok 7.**

Na Niedzielę 15-tą po Świątkach.

Lekcya. Galat. V. 25, 26 i VI. 1—10.

Bracia! Jeśli żyjemy duchem, duchem i postępujmy. Nie stawajmy się chciwi próżnej chwały jedni drugich drażniąc, jedni drugim zajrząc. Bracia! jeśliby też człowiek ubieżony był w jakim upadku, wy którzy duchowni jesteście, nauczajcie takiego w duchu cichości, obaczając samego siebie, abyś i ty nie był kuszon Jeden drugiego brzemiona noście, a tak wypełnicie zakon Chrystusów. Albowiem jeśli kto mniema, żeby czem był, gdyż niczem nie jest, sam siebie oszukiwa. A każdy niech sprawy swojej doświadcza, a tak w samym sobie tylko przechwalanie mieć będzie, a nie w drugim, bo każdy własne brzemię poniesie. A niech użycza wszystkich dóbr ten, który bywa nauczan w słowie, temu który go naucza. Nie błądźcie; nie da się Bóg z siebie naśmiewać: albowiem co będzie siał człowiek, to też będzie żął. Bo kto sieje na swem ciele, z ciała też żąć będzie skażenie; a kto sieje na duchu, z ducha żąć będzie żywot wieczny. A dobrze czyniąc nie ustawajmy, albowiem czasu swego żąć będzie nie ustawając. A przeto póki czas mamy, czyńmy dobrze wszystkim, a najwięcej domownikom wiary.

Ewangielia. Łuk. VII. 11—16.

W on czas: Szedł Jezus do miasta, które zowią Naim, a z nim szli uczniowie jego, i rzesza wielka. A gdy się przybliżył ku bramie miejskiej, oto wynoszono umarłego, syna jedynego matki jego, a ta była wdowa; a rzesza miejska wielka z nią. Którą ujrzawszy Pan, ulitował się nad nią, i rzekł jej: Nie płacz. I przystąpił i dotknął się mar, (a ci co nieśli, stanęli); i rzekł:. Młodzieńcze, tobie mówię, wstań! I siadł on, który był umarły, i począł mówić; i dał go matce jego. I zdjął wszystkich strach, i wielbili Boga, mówiąc: Że Prorok wielki powstał między nami, a iż Bóg nawiedził lud swój.

Kazanie
o Kościele Chrystusowym.

Kiedy mówimy o Kościele, którego głową jest Piotr święty i następcy jego, nie rozumiemy tego kościoła murowanego lub drewnianego, do którego chodzimy, ale ten wielki Kościół, świat, bo do Kościoła Chrystusowego należy niebo, ziemia i czyściec; tylko jedno piekło nie należy.

Kościół Chrystusa na ziemi to jest

zgromadzenie tych wszystkich ludzi rozproszonych po całym świecie, którzy wyznają jednę prawdziwą Chrystusową wiarę, do świętych przystępują Sakramentów, i noszą w sercu nadzieję żywota wiecznego; i ci wszyscy ludzie są podlegli Ojcu świętemu, następcy Piotra świętego, namiestnikowi Chrystusa, Papieżowi rzymskiemu.

Cały więc Kościół, albo to zgromadzenie chrześcian, jest nakształt jednej wielkiej rodziny; a w każdej takiej rodzinie musi być ktoś, który rządzi, a inni, którzy słuchają. Bo ani wszyscy rozkazywać, ani wszyscy słuchać nie mogą. Tak też i w Kościele Chrystusa musi być jeden, który rządzi Kościołem, a tym rządcą był pierwszy Piotr święty, a po nim następcy jego, każdy Papież rzymski.

Pan Jezus postanowił i Piotra świętego i następców jego na miejsce swoje; aby oni w imieniu Jego rządzili Kościołem; my więc tego papieża tak słuchać powinniśmy, jakby samego Pana Jezusa, bo on do nas w Jego imieniu przemawia, i prawa stanowi. Ten Ojciec święty czyli Papież, nazywa się także głową Kościoła, bo ten Kościół od Chrystusa jest urządzony nakształt ciała jakiego, a ciało bez głowy być nie może, boby już nie było ciałem, ale trupem. Każdy z nas przez chrzest święty do kościoła należący, jest jako członek tego ciała. A jako w każdym z nas ani ręka, ani noga, ani żaden inny członek głowie nie rozkazuje, ale głowa, to jest rozum, rządzi wszystkiemi członkami, tak też i w kościele my jako członki nie możem rządzić głową, ale głowa Kościoła nami rządzić powinna.

I dlatego biada temu, który się odważa powstawać albo lekceważyć sobie przykazania kościelne, który mówi: A na co to pościć, na co to na mszę świętą chodzić, na co to to się spowiadać wielkanocną spowiedzią? Taki nie tylko Kościołowi, ale Bogu samemu jest nieposłuszny, bo Pan Jezus powiedział: kto was słucha, to jest Kościoła, ten mnie słucha; a kto wami gardzi, to jest Kościołem, ten mną gardzi.

Otóż jak w ciele rozmaite są członki, tak też i w tym kościele rozmaici są ludzie. Są członki zdrowe i chore, są ludzie źli i dobrzy, są członki żywe i umarłe, są ludzie z wiarą i bez wiary. A jak członek zgniły odciąć potrzeba, aby nie zaraził całego ciała, tak też i Kościół odcina i odrzuca tych wszystkich, którzy przyjąwszy chrzest święty, odstąpili od wiary i nauki Chrystusa, a takimi są wszyscy heretycy.

Kościół jest jako to drzewo pełne soku i życia, które ciągle świeże i nowe latorośle wypuszcza. Temi latoroślami my jesteśmy. Na jednej dużo jest liścia a mało owocu, na drugiej przeciwnie, dużo owocu, a mało liścia. Do pierwszej należą ci, którzy dużo mówią, a mało czynią; do drugiej przeciwnie ci, co wiele czynią a mało mówią. Na trzeciej jest owoc powierzchu piękny i dobry, ale wewnątrz zgniły i spruchniały; a to są ci, którzy mają zewnętrzne dobre i piękne uczynki, ale serce ich jest spruchniałe i zgniłe dla grzechów, które się w niem zagnieździły.

Są gałązki, które ciągle kwitną, ale nigdy w owoc się nie wiążą; to są ci, którzy ciągle mają dobre postanowienia, ale ich nigdy do skutku przywieść nie mogą. Są nakoniec gałązki suche, które ogrodnik odcina i na ogień rzuca; to są ci, którzy obumarli łasce Boskiej i żyją życiem złem, bez wiary i bez miłości. Ale są gałązki, które i kwitną i dobre dają owoce; a to są ludzie dobrych uczynków i mocnej wiary.

Ale, jakeśmy mówili, do Kościoła Chrystusowego należy niebo także. Ten Kościół na ziemi nazywa się Kościołem wojującym, i do tego Kościoła należymy wszyscy tu na ziemi żyjący. I dlatego ten Kościół nazywa się wojujący, bo my zawsze wojować musimy, pokąd tu żyjemy, z ciałem, światem i czartem. Ciało, świat i czart są nieprzyjaciołami Boga i dla tego

chciałyby nas od Boga oderwać. Każdy z nas powinien być jako ten żołnierz na straży postawiony w czasie wojny; On ciągle czuwać musi, bo jakby usnął, toby nieprzyjaciel się podkradł i zamordował go. Tak też i my ciągle czuwać powinniśmy, aby nieprzyjaciel się nie podkradł i nie zamordował duszy naszej.

(Dokończenie nastąpi.)

Obrona Częstochowy.

(Ciąg dalszy.)

Marcinowi w głowie się zakręciło, oczy nie chciały wierzyć temu, na co patrzyły, duch zamarł mu w piersi; piekło nie więcejby go przeraziło. Wreszcie porwał się za włosy i wybiegł, powtarzając jak w obłąkaniu:

— Boże, ujmij się za obrazę Kościoła! Boże ukarz! Boże ratuj!

II.

W Warszawie od dawna gospodarowali już Szwedzi. Zamek i miasto nie były zniszczone — ale gdy Marcin zaczął się rozglądać bliżej i dokładniej, ujrzał na wielu domach ślady drapieżnych rąk. Były to domy tych mieszkańców, którzy pouciekali z miasta, nie chcąc znosić obcego panowania, albo którzy stawili opór w chwili, kiedy Szwedzi wdzierali się na wały.

Księże gmachy były znacznie zrujnowane, inne pałace zrabowane do szczętu. W innych znowu przez okna wyglądali żołnierze szwedzcy, a kosztowne meble, obrazy dywany, figury bronzowe i marmurowe, zegary gdańskie, szkła przednie, albo leżały w bezładnych stosach na podwórzach, albo już spakowane stały, bo co się tylko dało, zabierali i wywozili do Szwecyi. Na Wiśle stało już trzydzieści olbrzymich szkut, gotowych do wywiezienia łupu. Pilnowały tych kosztowności straże, ale tymczasem niszczały na powietrzu i deszczu.

Miasto wyglądało jakby cudzoziemskie, na ulicach słychać było obcą mowę. Wszędy spotykałeś żołnierzy szwedzkich i tych najemników, którzy im w wojnie pomagali — żołnierzy niemieckich, francuskich, angielskich i szkockich — w najrozmaitszych strojach, w kapeluszach, w kubrakach, w grzebieniastych chełmach, w kaftanach, pancerzach, półpancerzach, w pończochach albo szwedzkich butach z cholewami jak konwie. Wszędy obca pstrocizna, obce stroje, obce twarze, obce pieśni. Nawet konie miały inne kształty od tych, do których oko przywykło.

Nazlatywało się też mnóstwo Ormian o ciemnych twarzach i czarnych włosach, przykrytych w kolorowe jarmułki. Ci łupy skupywać przybyli. Dziwiła też niezmierna ilość Cyganów, którzy nie wiadomo dla czego, przyciągnęli ze wszystkich stron kraju za Szwedami do stolicy.

Wśród tych tłumów różnojęzycznych, miejscowi mieszkańcy nikli prawie; dla własnego też bezpieczeństwa radzi siedzieli zamknięci w domostwach, mało się pokazując i spiesznie chodząc po ulicach. Czasem tylko jaka kareta pańska, spiesząca po Krakowskiem Przedmieściu ku zamkowi, otoczona hajdukami, pajukami lub wojskiem w strojach polskich, przypomniała, że to polskie miasto.

Tylko w niedziele i święta, gdy dzwony oznajmiły nabożeństwo, tłumy wychodziły z domów, i Stolica dawny przybierała pozór, chociaż i wówczas przed kościołem stawały szeregi obcych żołdaków, aby przypatrywać się niewiastom, pociągać je za suknie, śmiać się, a czasem śpiewać bezecne pieśni przed kościołami, właśnie wówczas, gdy tam Msze śpiewano.

Wszystko to przemknęło, jak tuman przed zdziwionemi oczyma Marcina, ale długo w Warszawie miejsca nie zagrzał. Zaczepił tylko tego i owego, by się nowin wywiedzieć.

Dowiedział się, że mieszczanie żałują dawnych czasów pogrążonej ojczyzny i dobrego króla, za co Szwedzi prześladują ich srodze, zabierają domy, wyciskają kontrybucye i zamykają do więzień.

Mówiono też, że cechy rzemieślnicze miały broń ukrytą, zwłaszcza płatnerze,

rzeźnicy, kuśnierze i potężny cech szewieki, że wyglądają ciągle powrotu Jana Kazimierza, nadziei nie tracą i gotowi przy lada pomocy na Szwedów uderzyć.

A lud prosty najwięcej miał chęci do oporu — i nieraz bywały zdarzenia, że gdy Szwedzi zapędzali w celu wzmocnienia Warszawy chłopów do robót, woleli oni znosić chłostę i więzienie, śmierć nawet samą, aniżeli się do umocnienia szwedzkiej potęgi przyczyniać.

Za Warszawą wrzało w kraju jak w ulu — wszystkie drogi, miasta i miasteczka zajęte przez żołnierstwo. Wszystko było zabrane, ogarnięte, podbite, wszystko było tak szwedzkie, jakby ten kraj zawsze był w ich ręku. Prócz tego, z ludzi nieszczęśliwych, którym wszystko zabrano, z desperatów, swawolników i pijaków, potworzyły się kupy zbrojne. Te napadały chłopów i szlachtę. Kraj zapłonął pożarami, nad miastami ciężyła zbrojna pięść żołnierska, w lasach zbój napadał.

Źle było wszystkim, ale ludzie stracili odwagę, o ratunku nikt nie myślał... nadziei nikt nie miał. Byli nawet tacy, którzy widząc, jak wzrasta potęga szwedzka, przechodzili do Szwedów, których król Karol Gustaw przyjmował z otwartemi rękoma, obietnicami obsypywał, kusił i przyciągał do siebie. Nawet pomiędzy tymi, co za królem-tułaczem, Janem Kazimierzem na Śląsk poszli, znaleźli się tacy, co go już tam opuścili.

Jednocześnie przyszły wieści, że wojna na wschodzie nie ustaje. Straszliwy wódz Kozaków, Chmielnicki, znowu Lwów obległ — a nawet już pod Lublin kozacy podchodzili.

Zbliżała się już zima, liście spadały z drzew, stada kruków, wron i kawek, opuściwszy lasy, unosiły się nad wsiami i miastami nieszczęsnego kraju.

Marcin był już za Piotrkowem, a taki brał go smutek, widząc i słysząc tak okropne rzeczy, że tylko powtarzał sobie: „oj do Częstochowy, prędzej do Częstochowy do jasnej Panienki, po opiekę i pomoc!"

Ostatni nocleg przed przybyciem do Częstochowy wypadł Marcinowi w Kruszynie. Wszedłszy do zajazdu, zasunął się on w ciemny kąt i zasnął. Wkrótce jednak zbudził się. W izbie siedziały teraz dwie osoby — jeden był wojskowy szwedzki, drugi pan jakiś w czarnem podróżnem ubraniu.

Bardzo to Marcina zdziwiło, że rozmawiali po czesku. Wspomniał sobie jednak, że temi czasy sługiwało w wojsku dużo ludzi z różnych narodów — a że czeską mowę rozumiał, bo w polskiem wojsku spotykał się już z Czechami, więc zaczął słuchać, o czem mówili.

Wojskowy, mąż w średnim wieku, rosły, silny, postawy wspaniałej, z bystremi oczami, tak mówił:

— Już to pieniędzy nam nie zbraknie, a za tydzień, albo za dwa, skarbiec króla szwedzkiego tak będzie ciężki, jak sułtana tureckiego.

Drugi powiada:

— A to zkąd, panie Wejhard, bo tu w tym kraju pieniędzy już nie dostać.

Tamten znowu mówi:

— Dość jest śmiele rękę wyciągnąć, a na śmiałości nam nie zbraknie — ale Polacy woleliby z głodu poginąć, niż jeden grosz ztamtąd wziąść.

Czarno ubrany pan, aż się przeraził i rzekł:

— Bo są takie miejsca, na które i Tatarom strach rękę podnieść. Nie o Częstochowie chyba waćpan mówisz?

— Owszem, o Częstochowie. Klasztor leży blizko granicy Śląskiej, więc Jan Kazimierz snadnie od niego zasiłki mieć może, a przytem skarby tam ogromne. Ja pierwszy powiedziałem o tem jego królewskiej mości królowi Gustawowi, mnie on też polecił klasztór wojskiem naszem osadzić.

Ale czarno ubrany pan przerwał:

— Panie Weyhard — jesteś przecie katolik, nie chciałbyś, żeby się stała krzywda świętemu miejscu — nie spiesz się więc z zajmowaniem klasztoru, może jeszcze król zmieni postanowienie. (Ciąg dalszy nastąpi).

„Miłość cierpliwa jest.“

W pewnem mieście w Westfalii, które więcej protestantów jak katolików liczy, odbywała się przed kilku laty misya ludowa.

Jednego wieczora, wzburzony motłoch krzycząc i wrzeszcząc napadł z hałasem na dom, w którym trzej misyonarze mieszkali. Z pomiędzy motłochu wypadł jeden mężczyzna, i gwałtem dobył się do pokoju jednego z misyonarzy. Potężnym głosem i gwałtownie wywijając i machając rękami, zaczął mówić:

— Czego wy tu chcecie w naszem mieście? Czy i u nas chcecie wasze piekielne dzieło zacząć, i światło postępu, którem się cieszymy, w ciemną noc zamienić? Czyście przyszli, aby truciznę niezgody w nasze rodziny zapuścić? Precz! Myśmy was nie wołali i nie potrzebujemy was! Jeźli natychmiast nie powrócicie do gniazda piekielnego, z któregoście wyszli, to zobaczycie! To wam zapowiadam w imieniu tysiąca innych, którzy tak samo myślą i tak samo działać będą.

Misyonarz zrazu stał jak wryty, słysząc tak miłe przywitanie, ale wkrótce przyszedł do równowagi. Przystąpił do mówiącego, stanął przed nim z założonemi rękami i przysłuchiwał się powodzi słów jego, patrząc mu spokojnym wzrokiem w oczy.

Gdy ten na chwilkę umilkł, kiwnął misyonarz kilka razy głową, jakby potakując i rzekł spokojnie:

— Dalej!

Ta zachęta wprawiła go w szał wściekłości.

— Jakto? zaryczał — mówicie jeszcze: dalej! A więc niech będzie! Ja wam powiem rzeczy, że się wstydem i hańbą pokryjecie!

Wasz zakon jest źródłem grzechów całego świata! Cokolwiek na wschodzie i na zachodzie, na północy i na południu, na dworach książąt i w domach obywatelskich, złego i przewrotnego się stało, tego wy Jezuici przez spojrzenie waszego oka bazyliszkowego, przez zatruty wasz oddech, przez dotknięcie się waszą przeklętą ręką, jesteście sprawcami. Wy myślicie tylko o tem, jakby całe kraje i narody w dawne jarzmo antychrysta zaprządz; zadaniem waszego życia jest kuć kajdany i więzy dla całej ludzkości; ale czekajcie, w przeszłem stuleciu królowie i rządy kark wam skręcili — ale teraz my, lud, stawszy się pełnoletnim, wyrok śmierci na was wydamy. Z wami się gruntownie obejdziemy, i nie spoczniemy, aż ostatni wasz pazur i resztę wężego ogona zupełnie nie zgnieciemy!

Wyrzuciwszy tyle słów i frazesów, jakby jednym tchem — musiał odpocząć, by zaczerpnąć oddechu.

Misyonarz znowu kiwnął głową i powtórzył:

— Dalej! dalej!

Reprezentant pełnoletniego ludu mało ze skóry nie wyskoczył.

— Jeszcze dalej — zawył — tak jest! właśnie po to przyszedłem i po to mnie posłali moi współobywatele, abym wam całą prawdę powiedział. Niech was stare baby i głupcy słuchają; ja od was nic nie chcę słyszeć i niczego się od was uczyć, ale wy mnie słuchajcie. To, co wy uczycie, to nauka szatańska. Wy przekręcacie wiarę i podkopujecie dobre obyczaje. Wy to, co dobre, nazywacie złem, a złe dobrem. Czy wyście nie postawili zasady, że cel uświęca środki, że wolno królów i książąt mordować? Wyście miasta podpalali, wojny wzniecali, studnie zatruwali, wyście zarazę i dżumę na całe kraje sprowadzali; jak długo wasz zakon istnieje, więcej złego narobiliście jak od początku świata się stało. Ale teraz miara się przebrała, godzina obrachunku wybiła.

Nawet teraz, słysząc tyle kłamstw i oszczerstw pozostał misyonarz spokojny; słyszał bowiem tę samą piosnkę już tysiąc razy oklepaną i dla tego nie obruszyła go wcale. Lekki uśmiech zaigrał na jego ustach i wezwał mówcę po dawnemu:

— Dalej! dalej!

To słowo w kłopot go wprawiło. On myślał, że tą razą inny obrót weźmie. Nie

wątpił, że misyonarz wpadnie w straszny gniew i że go zechce wyrzucić za drzwi. potem miał tłum równych jemu przyjaciół wolności wpaść mu na pomoc, aby wszcząć rewolucyę. A tu, jak na złość, ksiądz milczy i wcale się nie gniewa; a to milczenie i ta spokojna wesołość, wymusiła na tym gorliwcu, którego namiętność nieco już ochłodła, pewien rodzaj szacunku. I to ciągle powtarzane: „dalej! dalej!“ i tłum na ulicy wyczekujący, który liczył na nadzwyczajnie pomyślny skutek — to wszystko sprawiło, że deputowany w opłakanem był położeniu.

Nie powinien był milczeć — a jednak już wszystek proch wystrzelił. Zaczął powtarzać to, co już raz był powiedział; wybąkiwał niezrozumiałe słowa o pomroce i nocy, o świetle i ciemności. Ale dalej nie szło — woda w potoku opadła — potok wysechł.

Nielitościwy misyonarz tymczasem nalegał: Dalej! dalej! Wreszcie ulitował się nad zakłopotanym mówcą, chwycił go za oba ramiona i rzekł:

— Twoje serce nie musi być tak złe — ale nie siedzi na swojem miejscu. Muszę cię potrząść, aby znowu na swe miejsce przyszło. — To rzekłszy, otworzył drzwi i wypuścił go z pokoju.

Misya się skończyła, ojcowie gotowali się do podróży. Wtem do jednego z nich przystępuje człowiek mu znajomy. Misyonarz mówi:

— Doprawdy, z początku płynęła panu wymowa, ale następnie się urwało. Pan zapewne przyszedłeś dopowiedzieć to, coś pan zapomniał. Więc dobrze, mam jeszcze kilka minut czasu. Dalej, dalej!

Gdy misyonarz to mówił, łzy stanęły w oczach przybyłemu.

— Tysiąckroć przepraszam za moją prostacką gburowatość, rzekł ze łzami.

Misyonarz dziwił się nagłej przemianie. On zaś mówił dalej:

— Gdym wyszedł z pokoju księdza dobrodzieja, byłem jakby mnie piorun uderzył; popędziłem do domu, nie zdawszy sprawy z mego poselstwa tłumowi, co stał na ulicy. W domu wciąż mi stały na myśli słowa ojca dobrodzieja: „Serce twoje nie musi być tak złe, ale nie siedzi na swem miejscu. Muszę cię potrząść, aby na swe miejsce przyszło.“ Na drugi dzień odważyłem się pójść na kazanie; potem chodziłem na każde; te mnie tak poruszyły i wstrzęsły, że moje serce za łaską Bożą doprawdy przyszło na swe miejsce. Jużem się zgłosił do księdza proboszcza; ja chcę zostać katolikiem.

Sciskając mu rękę, rzekł misyonarz:

— Tylko dalej, mój przyjacielu! Coś pan zaczął, kończ pan szczęśliwie.

I istotnie dokończył dzieła. Porzucił wiarę luterską i został katolikiem, a jako syn Kościoła katolickiego stał się zadowolonym i szczęśliwym.

Gorliwy kapłan.

Skoro w Szwecyi częścią kłamstwem i podstępem, częścią gwałtem i przemocą tak zwanę reformacyę zaprowadzono, uważano wyznanie katolickiej wiary jako zbrodnię i konfiskatą majątku lub śmiercią karano. Pomimo to nie mało Szwedów pozostało wiernymi wierze katolickiej i znajdowali się kapłani odważni, którzy im po kryjomu śś. Sakramentów udzielali i w wierze ich umacniali.

W czasie, gdy Gustaw Adolf, król szwedzki, z miłości ku „czystej ewangelii“, ogniem i mieczem niszczył Niemcy, wyprosił sobie Ojciec Henryk Szacht pozwolenie od przełożonych, udania się w charakterze misyonarza do Szwecyi. Aby mógł niepoznany w Szwecyi przebywać, nauczył się robić łapki na myszy, któremi chciał tamże handlować. Wkrótce tak się w tem rzemiośle wydoskonalił, że się mógł odważyć towar swój sprzedawać. Wtenczas w nędznem odzieniu, pełno łapek dźwigając na plecach, wstąpił na ziemię szwedzką. Jako mniemanemu Słowakowi pozwolono bez trudności wstąpić do kraju.

W ten sposób apostolski ten mąż chodził od wsi do wsi, od miasta do miasta, od dworu do dworu wśród słoty i niepo-

gody i licho się utrzymywał z tego, co na łapkach zarobił. Powoli nauczył się języka szwedzkiego i mógł już zacząć ostrożnie z tym i z owym mówić o rzeczach religijnych i wywiadywać się o katolikach, którym następnie, ku wielkiej obopólnej radości, mógł kapłańskie czynić usługi.

W Upsali poznał w osobie radzcy Antelego wiernego wyznawcę katolickiej wiary, który go też jako kapłana katolickiego poznawszy, w dom swój przyjął. Aby jednak nie być poznanym jako kapłan, musiał O. Szacht odgrywać pokorną rolę parobka. W dzień rąbał drzewo, nosił wodę, bawił dzieci; w nocy stał przy ołtarzu otoczony gromadką wiernych katolików, którym chleb żywota łamał.

Coraz bardziej zwiększała się mała ta gromadka, a odważny jej i gorliwy duszpasterz najpiękniejsze już żywił nadzieje na przyszłość, gdy podły zdrajca położył koniec błogiemu działaniu. Fałszywy brat, nadworny muzyk ze Sztokholmu, umiał się wśliznąć do tej małej trzódki, poznał wrzekomego parobka we właściwym jego charakterze i natychmiast dał znać do władzy.

Urząd zaraz następnej nocy kazał uwięzić Ojca Henryka, radzcę, jego piserza i jeszcze jednego młodzieńca i po krótkiem zbadaniu trzech ostatnich ściąć, a Ojca Henryka jako cudzoziemca za granicę odstawić, ale pierwej starano się daremnie przez tortury wymusić na nim, aby nazwiska reszty katolików wyjawił.

O. Szacht powrócił do Niemiec, brał czynny udział jako kapelan polowy w wielu bitwach 30-letniej wojny, a po zawarciu pokoju został misyonarzem w Hamburgu, gdzie 1654 roku pełen zasług pobożnie zasnął w Panu.

Przypowieść.

Jezus Chrystus, Zbawiciel świata, nim wstąpił do nieba, ustanowił na swe miejsce kapłanów swego Kościoła, aby zaprowadzić ludzi zdrowo i cało wśród cierni i niebezpieczeństw życia aż do celu szczęśliwego t. j. zbawienia. Aby wydatnić tę prawdę pełną pociechy, pobożny jeden pisarz użył następującej przypowieści, którą tu umieszczamy.

Pewien podróżny przybył pod noc do wielkiego lasu, który mu był zupełnie nieznany, a który musiałby przejść wśród ciemności. Na szczęście spostrzegł czcigodnego starca, który się zbliżył doń pełen uprzejmości na poważnem obliczu. Podróżny zapytał go o drogę.

— Niestety — rzekł mu starzec — nie łatwo ci ją wskazać: ten las jest poprzecinany ścieżkami, które się krzyżują i podobne są jedna do drugiej, a wszystkie, wyjąwszy jednej, prowadzą do przepaści.

— Do jakiej przepaści? — zapytał podróżny.

— Do strasznej przepaści, która las otacza. To jeszcze nie wszystko — mówił dalej starzec: las ten nie jest bezpieczny; pełno w nim zbójców i drapieżnych zwierząt; Straszliwy i szkodliwy smok okropne czyni spustoszenia, codzień napada na nieszczęśliwych podróżnych, którzy stają się jego pastwą. Tknięty litością, zamieszkałem u wejścia tej niebezpiecznej drogi, aby pouczać i ochraniać podróżnych. W pewnych odstępach mieszkają moi synowie w tym samym celu: ofiaruję ci moje i synów moich usługi.

Podróżny przyjął usługi z wdzięcznością. Natychmiast wziął starzec lampę, wstawił ją w mocną latarnię, następnie trzymając w jednej ręce latarnię, drugą uchwycił podróżnego za rękę i tak obaj udają się w drogę pewnym krokiem. Po niejakim czasie uczuł podróżny, że go siły opuszczają.

— Oprzej się o mnie — rzekł mu starzec.

Wkrótce potem spostrzegł, że oleju zaczyna brakować w lampie.

— Bądź spokojny — rzekł starzec — pójdziemy do jednego z mych synów, który nam doda oleju do lampy.

I rzeczywiście, w niejakim oddaleniu ujrzeli światło w murowanej chatce, stoją-

cej przy drodze. Podróżny wstąpił do niej — odpoczął i posilił się pożywieniem, które mu gościnnie ofiarowano.

Po statecznym wypoczynku, wyruszył dalej w drogę z synem owego starca. W pewnych odstępach ujrzał nowe chatki, nowe starania, nowych przewodników; a skoro pierwsze promyki zorzy obieliły widnokrąg, przybył bez wypadku na koniec lasu.

Tu oczom jego przedstawiła się straszna przepaść; z głębi jej dał się słyszeć głuchy szum potoku.

— Co to jest za przepaść?

— To ta, o której mój ojciec ci mówił. Ludzie nie znają jej głębokości, bo pokryta jest mgłą, której oko nie może przeniknąć. Ach — dodał przewodnik ocierając łzy z oczu — tylu jest, którzy tam giną, bo otrącają nasze usługi, mówiąc, że ich daremnie straszymy. Ledwie się puszczą sami w tę drogę tak niebezpieczną, natychmiast zabłądzą i giną marnie albo pożarci od straszliwego smoka, albo od zbójców zabici, albo pochłonięci od potoku, gdyż tylko ten jeden mały most jest na nim, który tu widzisz przed sobą. Przejdź go śmiało: na drugiej stronie jest dzień jasny — tam jest twoja ojczyzna.

Podróżny uścisnął swego przewodnika, przeszedł przez most, a w kilka godzin później pełen radości spoczywał na łonie kochanej rodziny.

Znaczenie tej przypowieści da się łatwo odgadnąć.

Przedstawia ona niebezpieczną drogę życia, którą człowiek ma przebyć, aby się dostać do wiecznej ojczyzny.

Tym starcem poważnym i miłym, który się ofiaruje za przewodnika, jest Jezus Chrystus, który wskazuje ludziom drogę do życia i który ustanowił kapłanów swego Kościoła, aby dalej dzieło jego prowadzili i wiernych przez naukę i Sakramenta święte aż do wejścia do raju przywodzili.

Ludwik XVI we więzieniu.

Ludwik XVI, król francuzki, stawszy się igraszką swoich prześladowców, był wystawiony na wszelkie rodzaje przykrości ze strony swoich gnębicieli, którzy chełpiąc się świętokradzko z buntu przeciwko Kościołowi jak i przeciw swemu prawemu władcy, podali mu obiad mięsny w piątek, nie zadawalniając się pozbawieniem go wolności, lecz chcąc jeszcze dręczyć jego sumienie. Król, widząc taki sposób postępowania ze sobą, wziął szklankę wody a zmaczawszy w niej kawałek chleba, rzekł z uśmiechem: Oto mój obiad!

Świętojózafacie

czyli składka na ubogich studentów katolicko-polskich.

W kasie (zob. nr. 35)	200,19 m.
Pozostałość z pielgrzymki polskiej z Bochum do Neviges (wręczył p. Jan Madejka) . .	15,30 „
Paweł Karwatowski, Bochum (wręczył p. Wincenty Sobek)	0,50 „
Ze skarbonki Tow. św. Barbary w Bochum (wręczył p. Jan Budziński)	1,34 „
Razem	217,33 m.

Bóg zapłać! Św. Józafacie, módl się za nami!

30. 8. 1898 pro: Ks. Liss.
Jan Bieliński, Bochum Maltheserstr. 17a.

Kalendarz tygodniowy.

Wrzesień.

11. Niedziela. Prota i Jac. M.
12. Poniedziałek. Gwidona W.
13. Wtorek. Aureliusza.
14. Sroda. Podwyższenie św. Krzyża.
15. Czwartek. Nikodema.
16. Piątek. Eufemii.
17. Sobota. 5 ran św. Franciszka.

Redaktor odpowiedzialny: ks. Franciszek Liss w Rumianie. — Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Wiarusa Polskiego"